

WAŁBRZYSCY CELEBRYCI

TEKST: Mike Urbaniak

26.05.11

FOTO: Karol Grygoruk

Ludzie się was boją.

Paweł Demirski (D): – Trochę się boją.

Monika Strzępka (S): – Bo rzucasz mikrofonami.

D: – Ja? To ty wychodzisz ze spotkań z okrzykiem: debile!

S: – Ja nigdy nie krzyczałam: debile!

D: – A po „Diamentach...” w Bydgoszczy?

S: – Byłam w ciąży. Po prostu szlag mnie trafił na kolejne pytanie o twoje wybitne dzieło literackie i jego ulomną sceniczną formę za którą ja – jako ta wieśniacka reżyserka – odpowiadam.

D: – Poza tym jesteśmy generalnie bardzo sympatyczni.

Do Grzegorza Chlasty w TOK FM powiedzieliście: „Będzie pan wisiał, redaktorze”.

S: – Ale to był żarcik, bo to bardzo fajny człowiek przecież. Kto by go tam wieszał.

D: – Może ten strach, to dziwne napięcie wynika też z tego, że w naszych spektaklach jest dużo ślepej i nieuzasadnionej nienawiści.

Dyrektorzy teatrów się was boją i nie dzwonią.

S: – Ale kto miałby do nas zadzwonić? Masz jakiś pomysł?

D: – Problem raczej polega na tym, że wiele osób, w tym dyrektorów, ma pogląd na nasze spektakle, choć ich nie widziało.

I to was dziwi? W Polsce to normalne, że ma się zdanie o spektaklu, którego się nie widziało czy o książce, której się nie przeczytało.

S: – Co było bardzo dobrze widać przy okazji „Złotych żniw” Jana Tomasza Grossa. Najgorsze jest to, że nie ma już nawet poczucia obciachu w związku z tym. Ludzie przyznawali, że nie czytali książki, i zaraz potem przystępowali do jej krytyki.

Pamiętam też jak prof. Bartoszewski objechał biografię Kapuścińskiego pióra Artura Domosławskiego, choć nie widział jej na oczy. Było coś o burdelu i prostytutkach. A „Złote żniwa” to temat dla was interesujący?

S: – Nie.

Dlaczego?

S: – Bo ta cała holocaustowa konfekcja już zaznaczyła swoją obecność w najnowszych dziejach polskiego teatru. Doszło do tego, że w kulturze popularnej mamy w zasadzie dwa wizerunki Żyda: „aj-waja” z teatru Szymona Szurmiejy i Goldy Tencer oraz Żyda zaszczutego, ale grającego na pianinie. Zresztą ujęcie tematu przez Grossa nie jest niczym nowym, po prostu wypłynęło na popularyzatorskie wody debaty publicznej. Ale żeby było jasne – nie uważam, że temat Zagłady jest tematem przerobionym i zamkniętym. Wręcz przeciwnie.

D: – Dla mnie, jeśli już, interesujący jest cały dyskurs postpamięciowy. Kiedy myślimy nad zrobieniem jakiegoś spektaklu, to ważne jest dla nas wycucie jakiegoś napięcia wokół danej sprawy. Ja go teraz nie czuję. Wszyscy są już na okopanych pozycjach. Nie znajduję klucza do tego tematu. A ty uważasz, że to jest dziś temat do teatru?

Tak uważam. Widzieliście „Naszą klasę”? Ja niestety widziałem.

S: – To nas rozumiesz.

D: – Kiedy byliśmy na festiwalu w Łodzi, pani w naszym hotelu powiedziała, że gdyby ktoś kopał w nocy w nasze drzwi, to żebyśmy dali znać, bo mają dziś izraelską wycieczkę. Popatrzyliśmy na nią dziwnie. W nocy rozpoczęło się walenie. Ci Izraelczycy właściwie wyłamali drzwi do pokoju naszych kolegów z ekipy technicznej z wałbrzyskiego teatru, którzy próbowali się z nimi porozumieć i mówili: „Sleep, sleep. You go!”.

S: – A ci Izraelczycy, jakie kurwa sleep.

D: – Więc nasi zakasali rękawy, ale szybko zrozumieli, że zaraz wybuchnie afera z cyklu: panowie z Wałbrzycha zajębali w Łodzi Żydów. I odpuszcili.

I tu właśnie jest moim zdaniem klucz to tematu. Te wszystkie „Auschwitz tours”, czyli wycieczki po obozach koncentracyjnych, słynne demolki izraelskiej młodzieży w hotelach, agenci ochrony, którzy jednym ruchem łamią ci rękę. A wszystko na tej „umęczonej, przesiąkniętej żydowską krwią ziemi”.

D: – Może to rzeczywiście jest jakiś ciekawy kontekst. Chociaż trzeba chyba wciąż pamiętać, żeby nie lać wody na antysemitki, wciąż działający, młyn albo już młynek. A może trzeba lać? Nie wiem.

S: – A mnie nie interesuje wchodzenie tylko w kontekst etniczny. „To Polacy zabijali dla kasy Żydów”, „to nie byli Polacy”, „to mniej Polacy, bo męty społeczne”. Dyskurs tożsamości etnicznej jest kompletnie bezużyteczny. Czy ten facet, co ściągał pierścionki z palców Żydówkom, miał buty czy nie miał? To jest istotna sprawa! Bez takiego kontekstu – de facto klasowego – nie ma sensu rozmawiać.

Właściwie zawsze występujecie w duecie, w prasie nie rozdziela się waszych nazwisk. Nie męczy was to ciągłe występowanie jako „my”?

D: – Monika każe mi tak mówić.

S: – Co?!

D: – Żartowałem.

S: – No pewnie, lubimy takie szowinistyczne żarciki. Przez kilka lat, kiedy o nas pisano i mówiono, moja praca była marginalizowana. „Wybitny pisarz i jego żona”. Przez lata znosiłam upokarzające sytuacje, notorycznie słysząc: „Dziś odbędzie się spotkanie z twórcami spektaklu Pawła Demirskiego pod tytułem...”. Musiałam sobie wyszarpywać pozycję, bo wiecznie występowaliśmy w konfiguracji: on – mój pan i ja – jego gejsza. Andrzej Horubała z „Uważam Rze” napisał o naszej sztuce: „Spektakl Pawła Demirskiego i matki jego dziecka”.

D: – To wynikało z tego, że kiedy zaczynaliśmy pracować, to ja miałem lepszą pozycję z racji mojej wcześniejszej pracy w Teatrze Wybrzeże, a ty unikałaś mediów, i tak to się porobiło. Ale oczywiście ty nie krzyczałaś na Łukasza Drewniaka za jego recenzje, tylko na mnie, w domu.

S: – Z Drewniakiem też sobie porozmawiałam. Ale wiesz, Paweł, możemy to traktować wyłącznie jako mój problem, tylko to niczego nie rozwiązuje. Przyjeżdżamy na Warszawskie Spotkania Teatralne, a ich dyrektor mówi, że oto przybył Paweł Demirski ze swoim spektaklem. Byłam pomijana i lekceważona.

D: – Nadmuchujesz to ponad miarę.

S: – Trzeba nadmuchiwać takie sprawy i powinniśmy to robić wspólnie.

D: – Ale robisz mi teraz awanturę o to?

S: – Przecież tylko rozmawiamy. Poza tym to Mike zaczął.

D: – Strzępka czyta biografię Stalina, bo to jedyna książka, w której się może przejrzeć jak w lustrze.

Ja z wami zwariuję. To macie ochotę się rozdzielić czy nie?

S: – Właściwie to nie jest tak, że my tylko ze sobą.

D: – Chciałaś mi dać lojalkę, ale ja jej nie podpisałem.

S: – Rzeczywiście, walczyliśmy trochę, żeby nas zaczęto traktować tandemicznie. Mamy już zaplanowany kolejny sezon, więc się – póki co – nie rozdzielamy.

D: – Bo my się poza wszystkim naprawdę lubimy i mamy fajnych współpracowników. Ja bym się czuł głupio, robiąc coś bez nich. Albo byśmy się pokłócili od razu, bo ty na przykład chciałabyś Jasia Suświłło (naszego kompozytora) i ja też.

S: – Jak widzisz, sami sobie zgotowaliśmy ten tandemiczny los. Ale myślę, że ten moment pracy nad czymś oddzielnie nadejdzie. Ja bym bardzo chciała zrobić na przykład Słowackiego.

D: – Chciałabyś spełnić marzenie Jacka Sieradzkiego. Powiedz to wprost.

S: – Tak, chciałabym spełnić marzenie Jacka Sieradzkiego i zrobić „Kordiana”.

D: – To nie spełnisz jego marzenia, bo on chciał, żebyś zrobiła „Fantazego”.

À propos spełniania marzeń. Co teraz planujecie teatralnie?

S: – Najpierw „Polożnice Szpitala Świętej Zofii”, czyli rewia położnicza w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Historia oparta na faktach.

Opowiadajcie.

S: – Kiedy rodziłyśmy dziecko... No dobra, ja rodziłam, bo ty Pawełku nic nie rodziłeś – mieliśmy mnóstwo problemów.

D: – Nasze dziecko urodziło się w takim stanie, że trzy razy w tygodniu byliśmy u różnych specjalistów. Czy będzie widział, czy nie? Czy będzie chodził, czy nie? Ma porażenie czy nie? Tak się skończył poród w jednym z najlepszych szpitali.

S: – I postanowiliśmy w związku z tym przyrzeć się takim akcjom jak „Rodzić po ludzku”, ich ciemnym stronom, bo te akcje oprócz tego, że robią wiele dobrego, robią też sporo złego.

D: – Widać to świetnie przy okazji statystyk, które zawsze są wyścigiem. Muszą wyglądać jak najlepiej. Pewne rzeczy są w nich ujmowane, inne nie. Nie jesteś na przykład w stanie zdobyć informacji, na którym miejscu jest dany szpital, jeśli chodzi o liczbę popełnianych błędów lekarskich.

Dlaczego? Są tajne?

D: – Trudno dostępne.

S: – A jest tak, że te szpitale, które są najwyżej w rankingach, mają też najwięcej pozwów o błąd w sztuce lekarskiej, a dzieciaki, które się tam rodzą, częściej lądują na oddziałach patologii noworodka.

D: – I neurologii dziecięcej. Kiedy pojechaliśmy z naszym synkiem do Centrum Zdrowia Dziecka i powiedzieliśmy, gdzie rodziłyśmy, to lekarze popatrzyli na nas znacząco.

Sztuka jest napisana?

D: – Jest mocna pierwsza wersja. I będzie zmieniana.

A dlaczego rewia?

S: – Eksplorujemy takie gatunki, które są ściśle związane z – nazwijmy to – łatwą rozrywką.

D: – Poza tym Janek zrobił z nami dziewięć spektakli i ani jeden recenzent nie napisał o jego muzyce, więc trzeba było zrobić tak, żeby teraz recenzenci nie mieli wyjścia.

Teatr muzyczny to dla was duże wyzwanie?

S: – Penetrowanie nowych gatunków jest podniecające. Mieliśmy spotkanie z aktorami, którzy będą brać udział w naszym spektaklu. To było dla nas trochę niezręczne, bo siedzę ja, Demirski, Janek, Rafał Urbacki (choreograf) i Maciek Chojnacki (scenograf) i mówimy: „Proszę, niech nam pan/pani coś zaśpiewa”. To nie był casting, po prostu przesłuchanie – Janek musiał wiedzieć, dla kogo pisze, na jakie głosy, na jakie skale. Ale tak czy inaczej – sytuacja trochę komisyjno-egzaminacyjna. I oni nam dali taki power, jaki jest nieosiągalny w teatrze dramatycznym. To są śpiewający aktorzy! Rozumiesz? Śpiewający aktorzy!

Co po Chorzowie?

S: – „Polskie pomniki” – hasło wywoławcze Bartka Szydłowskiego, szefa Łaźni Nowej. To będzie koprodukcja festiwalu Boska Komedia i jakiegoś teatru, jeszcze nie wiemy jakiego. Premiera w grudniu na Boskiej.

Czuje, że będzie ostro. A Wałbrzych?

S: – Sezon pod hasłem „Wolimy, wolimy”. I już nie pamiętam, na co myśły się tam zdecydowali.

D: – O dobru będzie, o dobru spektakl.

S: – A potem zabieramy się za Courtney Love w Teatrze Polskim we Wrocławiu i Paweł przepisze „Wesele” Wyspiańskiego.

D: – To znaczy bierzemy pomysł Wyspiańskiego i napiszemy sztukę o naszym własnym weselu, moim i Strzępki.

S: – Planujemy brać lapówki od tych, którzy będą chcieli się znaleźć na liście gości i zapisać w historii polskiego teatru.

Mogę być druhną?

S: – A będziemy mieli okładkę w „WAW”?

Załatwione. Gęsto macie w kalendarzu.

S: – Ale wiesz, jak to jest. Często mamy tak poplanowane, ale potem zostajemy z jedną czy z dwiema produkcjami (nienawidzę tego słowa), bo pozostałe odpadają z powodu na przykład obciętej o 30 proc. dotacji, co się przytrafiło większości teatrów w tym sezonie. Zdarzało się, że dyrektor odwoływał próby tydzień przed ich rozpoczęciem.

Jesteście ofiarami cięć budżetowych.

D: – Nie my, tylko społeczeństwo.

S: – Albo dyrektor dostaje lepszą propozycję.

D: – Nie, no tak to nigdy nie było.

Dlaczego nie macie propozycji z Warszawy?

S: – Dostaliśmy z Dramatycznego propozycję zrobienia spektaklu warsztatowego.

I to koniec stołecznych ofert?

S: – Dlaczego ty właściwie nas o to pytasz? To nie jest pytanie do nas. Gdyby Maciej Nowak miał teatr, to byśmy do niego poszli jak w dym. A tak, gdzie mamy pójść? Do Ateneum? Nie mam poza tym poczucia, że jest potrzeba nas w Warszawie.

„D: – I jeszcze jedno. Nam bardzo zależało na tym, żeby zmienić paradygmat kariery: Warszawa, Europa, świat. Żeby programowo robić gdzieś indziej i dostać Paszport „Polityki” za Wałbrzych, a nie za Warszawę.

Powiedzieliście kiedyś o sobie, że jesteście wałbrzyskimi celebrytami.

S: – Z perspektywy stolicy można to traktować jako żart albo oksymoron. Celebryci są w telewizorze, w stolicy, a nie na prowincji. Świadomie używam słowa „prowincja”, bo zależy mi, żeby o na przykład Wałbrzychu można było mówić prowincja i nie dodawać pięciu dodatkowych zdań o konieczności odczarowania tego pojęcia... I, zaraz, co to ja chciałam powiedzieć? Będziesz miał przejebane, spisując ten wywiad.

D: – Nie musisz krytykować całej europejskiej kultury w jednym zdaniu.

S: – Odwal się.

Rozpoznają was na ulicy? Obywatelstwo honorowe wam dali?

D: – Nie. My poza tym nie jesteśmy tam tak często, jak się wydaje.

S: – Wrażenie jest takie, że mieszkamy w Wałbrzychu, bo dużo o nim mówimy i jesteśmy z tym miejscem mocno związani.

D: – To, co było naprawdę przyjemne, kiedy dostaliśmy Paszport, to rzeczywista podjarka na wałbrzyskich forach internetowych. Ludzie pisali, że zajebicie, że Wałbrzych. I to było super! Taka duma z nas i z miasta. Nawet prezydent chciał się umówić na kawkę.

S: – Mieliliśmy z tym problem etyczny ze względu na tę całą łapówkarską aferę i nie skorzystaliśmy z zaproszenia.

O bilety na wasze wałbrzyskie spektakle bije się festiwalowa publika w Warszawie, Łodzi czy Krakowie. A jak jest w Wałbrzychu?

S: – Na nasze przedstawienia ludzie chodzą.

D: – I tu opowiem anegdotę. Pewien warszawski krytyk teatralny przyjechał do Wałbrzyska. Wsiadł na dworcu do taksówki i powiedział: „Do Teatru Szaniawskiego proszę”. Na co kierowca: „A na »Polaku« pan był? Bo ja byłem dwa razy”.

Ale na co dzień teatr nie pęka w szwach.

D: – Niewiele teatrów pęka w szwach. Są w Wałbrzychu oczekiwania części publiczności, a raczej mieszkańców – miękkiego establishmentu – by robić inny repertuar, od którego teatr miałby pęknąć w szwach. Ale może to nie jest dobrze mieć taki pęknięty teatr.

S: – To jest pytanie o funkcję, nawet nie tyle teatru, co sztuki w ogóle. Nie jest żadnym problemem stworzyć teatr pełnej widowni. Ale jeżeli uznajemy, że teatr jest również polem poszukiwania nowych form, że ma prawo do eksperymentu, że powinien być narzędziem do krytycznego przyglądania się rzeczywistości – to siłą rzeczy nie będzie spełniał oczekiwań w rodzaju: ma być życiowy, czyli przejrzelśmy się jak w lustrze i upewniliśmy się, że w życiu jest raz śmieszno, raz straszno, a i tak życie zmierza do nieuchronnego końca, więc szampan i standing ovation po pięćsetnym „Maydayu”.

W Warszawie jest ponad 30 teatrów, a w Wałbrzychu (nie licząc Teatru Lalki i Aktora) jeden. W Warszawie decydujesz, czy masz ochotę na „Mayday” czy „Oczyszczonych”, w Wałbrzychu już nie. Czy w tej sytuacji – i to jest otwarte pytanie – teatr nie powinien być dla wszystkich (cokolwiek to oznacza)?

D: – Ja też się nad tym zastanawiam. Wydaje mi się jednak, że potrzeby rozrywkowo-etolowe zapewnia teatr prywatny, który przecież przyjeżdża do Wałbrzyska z różnymi monodramami i innymi spektaklami.

S: – Poza tym nam zupełnie obcy jest pogląd, że do teatru idziesz po to, żeby oderwać się od szarej rzeczywistości dnia codziennego. To jest jakieś nieporozumienie. Uważam, że to jest wielkie zadanie: stworzyć demokratyczną sytuację na widowni, żeby każdy widz – bez względu na kompetencje kulturowe – coś dostawał, żeby wyeliminować problem braku udziału, „bo za trudne”.

Ludzie przez lata jeździli do Wałbrzyska trochę jak do zoo.

S: – W jakim sensie?

Że ten Wałbrzych wymyślony w ich głowach, biedaszyby, ludzie z reklamówkami i w środku tego wszystkiego ten teatr. Jedziemy pooglądać, zrobić zdjęcia i...

S: – Siup do kuszетки.

D: – Rzeczywiście tak było. Ludzie przyjeżdżali tam z aparatem fotograficznym. Dziś to już się chyba zmieniało.

S: – Zresztą podobnie było z samym teatrem, który był dobry warunkowo. Coś było dobre „jak na Wałbrzych”, aktorzy nieźli „jak na Wałbrzych”, „jak na prowincję to

całkiem całkiem”.

D: – Jeden reżyser wysłał mi kiedyś esemesa: „Będziesz robił te »dobre jak na Wałbrzych« spektakle?”.

To jest, słuchajcie, niesamowite i pocieszające, że takie miasto – zapomniane przez ludzkość – odmieniane jest przez wszystkie przypadki w mediach w kontekście gigantycznego sukcesu publicznej instytucji kultury, że jest gwiazdą najważniejszego festiwalu teatralnego Warszawy.

D: – To prawda, szczególnie, gdy zestawisz Wałbrzych z innymi podobnej wielkości miastami, jak Rzeszów, Gniezno, Elbląg czy Olsztyn. Tam nie ma nic porównywalnego. Na początku lat dwutysięcznych był nawet pomysł, żeby zamknąć Teatr Szaniawskiego, i ja się teraz zastanawiam, co by się w tym mieście stało? Czy jest jakaś refleksja nad tym, jak intensywnie ta scena pracuje? Czy jest jakaś wartość? Czy zlikwidowanie tego teatru byłoby stratą dla mieszkańców miasta?

S: – Ja bym zadała jeszcze inne fundamentalne pytanie: co takiego wydarzyło się w Wałbrzychu, Legnicy czy Bydgoszczy, co nie miało miejsca gdzieś indziej? Czy dobry teatr nie jest możliwy w innych prowincjonalnych miastach? Na przykład w Tarnowie?

O pomysłach zamknięcia wszyscy już zapomnieli. Teatr, po dostaniu uniijnych dotacji, generalnie się remontuje.

D: – Danuta Marosz jest superzarządczem tego miejsca.

S: – Zarządczką. Mike, zmieniaj mu wszystkie końcówki na żeńskie. Demirski się zgadza, tylko jeszcze tego nie ogarnął.

„Może powinniście zrobić o tym sztukę?”, często słyszycie to pytanie?

S: – Tak.

D: – Bardzo.

S: – I zazwyczaj są to propozycje monodramu.

I co odpowiadacie?

S: – Staramy się jakoś wybrnąć.

D: – Ale też bez przesady. Zdarzało się, że napisałem coś, co mi ktoś podpowiedział.

Powtarzacie, że są dwa teatry w Polsce, do których możecie iść ślepo z waszymi pomysłami. Pierwszy to Wałbrzych, a drugi to Teatr Polski we Wrocławiu?

S: – Doszedł jeszcze Chorzów, gdzie zostaliśmy obdarzeni dużym zaufaniem. Oczywiście, łatwiej nas obdarzyć zaufaniem teraz niż pięć lat temu. Ktoś w tym państwie musi dać ci najpierw legitymację.

Albo Paszport.

S: – I tu pojawia się pytanie, czy nagrody coś zmieniają? Czy ileś tam tekstów w tygodnikach opinii coś zmieniło?

D: – Czy bez tej legitymizacji moglibyśmy nadal tak intensywnie pracować?

Dla mnie to jest też pytanie, na ile taka nagroda jak Paszport „Polityki” otwiera wam jakieś drzwi, a na ile podczepia się pod wasz sukces. Czym innym byłoby przyznanie wam Paszportu, nie wiem, trzy lata temu. Czym innym jest przyznanie go, kiedy już widać, że jesteście na fali.

D: – Ja nie wiem, na czym to polega.

S: – Kiedy przyjrzyś się karierom polskich reżyserów teatralnych, to one zawsze wyglądają tak samo. Najpierw dostajesz kopa w podbrzusze, patrz: Jarzyna, Kleczewska czy Kłata. Potem zaczynają cię doceniać. Na końcu przyłącza się konserwa (mistrzem jest Jacek Wakar, który zauważa, że „artysta wreszcie dojrzał”). Potem ładują cię do wora „mistrzostwo”, a „z mistrzami – jak wiadomo – się nie dyskutuje” (to też cytacik z Wakara). A na koniec to już na kolanach i z dużą ilością lubrykantu.

Paweł, ty uczestniczysz we wszystkich próbach?

D: – Nie, bo to jest przerażająco męczące. Siedzisz na próbie i nie możesz nic powiedzieć. Bierna obserwacja to jest masakra. A piszę głównie nocami, więc rano ostatnia rzecz jaką bym chciał robić to wstać i pójść na próbę.

S: – Już nie opowiadaj, że zabraniam ci się odzywać na próbach! Ja tam lubię, jak Demirski jest na próbach. W ogóle lubię mieć na próbach widownię. Sprawdzam na bieżąco, co działa, co nie. Ale rzeczywiście jest tak, że osoby niezaangażowane bezpośrednio w proces po prostu się nudzą. Tłuczesz tę scenę i tłuczesz, ja zresztą mam dość upiorną metodę reżyserowania: ciągle przerywam. Na etapie klejenia całości zaczyna być ciekawie. Trzeba na przykład wywalić gotową scenę, nawet jeżeli jest naprawdę dobra, bo nie sprawdza się w strukturze. To są próby pisków i jęków. Piszcza głównie aktorzy, bo już się przywiązali do danej sceny. Piszczę też ja, bo mam taką strategię, że jak piszczę z aktorami, to oni czują się mniej osamotnieni. Najmniej, wyobraź sobie, piszczy Demirski. Zmiany są czasami naprawdę grube. Na drugiej generalnej „Tęczowej Trybuny” Paweł chciał przełożyć premierę na wrzesień!

Bo?

D: – Zrozumiałem, ilu rzeczy tam nie ma. To była straszna noc. Straszna! Mamy pełną strukturę, kończymy, i nagle otwiera mi się coś w głowie. Bardzo to było bolesne.

S: – Zwykle to dyrekcja przychodzi na odbiór spektaklu i mówi, że może to albo tamto by zmienić. I nie ma to nic wspólnego z cenzurą, to jest takie dobre, świeże spojrzenie z

zewnątrz.

D: – Strasznie dużo tych dygresji.

S: – O co ci chodzi? Mike to sobie potnie! No i wracając do „Tęczowej Trybuny” – tu było dokładnie odwrotnie. Dyrekcja mówi: „Ale w czym problem? Macie gotowe przedstawienie”. A my, że nie, że do dupy, że trzeba wszystko jeszcze raz. I żeby była jasność, to ja jestem przedpremierową histerycą. Leżę pod koldrą i krzyczę, że nie skończę, że mi się to nie układa, „nic tu nie ma, nic!”.

D: – I zwykle krzyczy do mnie: „To sam sobie kończ tę chujową sztukę!”. Ja wtedy: „Dobra, skończ sobie!” I ona: „No pewnie, bo do czego ja ci jestem potrzebna!”.

S: – Tym razem było dokładnie odwrotnie. Byłam, owszem, spanikowana. Chciałam się schować pod koldrę, patrzę, a tam zajęte, Demirski już tam siedzi i krzyczy: „Nie! Nie! Nie!”. Mówię: „Kurwa, robimy skróty!”. I w takim klimacie totalnie zmienialiśmy pierwszą część przedstawienia, kolejność scen. I poszło. Zawsze do końca pracujemy, ale tym razem nam się odwróciły funkcje i trochę nas to zbiło z tropu.

Podobno teraz obwąchujecie film.

S: – Rzeczywiście, jest zainteresowanie nami ze strony producentów filmowych. Nasza pycha lubi to.

D: – Marzy nam się filmowa wersja „Tęczowej Trybuny”.

To jest balsam na moje zbolełe gejowskie serce.

S: – Chyba dupę.

D: – Monisiu, przecież cię prosiłem.

S: – Przepraszam, ale nie mogłam się powstrzymać.

Duet Paweł Demirski i Monika Strzepka jest bez wątpienia jednym z najciekawszych zjawisk w polskim teatrze. On pisze dramaty, ona je reżyseruje. Przez jednych uwielbiani, przez innych znienawidzeni, budzą skrajne emocje wśród krytyków teatralnych. Są bardzo kojarzeni z Teatrem Dramatycznym im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu, gdzie wystawili swoje najgłośniejsze spektakle, jak „Był sobie POLAK POLAK POLAK i diabeł, czyli w heroicznych walkach narodu polskiego wszystkie sztachety zostały zużyte”, „Diamenty to węgiel, który wziął się do roboty”, „Niech żyje wojna!!!” czy „Był sobie Andrzej Andrzej Andrzej i Andrzej”. Ich drugą ulubioną sceną jest Teatr Polski we Wrocławiu, gdzie zrobili „Dziady. Ekshumację” (ich pierwszy wspólny spektakl w 2006 r.), „Śmierć podatnika, czyli demokracja musi odejść, bo jak nie, to wycofuję moje oszczędności” czy ostatnio „Tęczową Trybunę 2012”. Obecnie pracują nad rewią „Położnice Szpitala Świętej Zofii” w Teatrze Rozrywki w Chorzowie, która ma mieć premierę pod koniec czerwca tego roku. Są tegorocznymi laureatami jednej z najbardziej prestiżowych nagród kulturalnych – Paszportów „Polityki”. Mają dwuletniego synka Jeremiego.

© Magazyn WAW | magazynwaw.com